

KAMIŁA SZYMAŃSKA

XCIV LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE im. S. Maczka

KATEGORIA : CYTAT („Nie przeszkadzaj mi widzieć”)

Na własne oczy

"I tak, w 1945 roku, Niemcy podpisały akt kapitulacji". Na ekranie wyświetlają się dwie pionowe kreski oznaczające pauzę. Pozostało 49 sekund filmu, ale każdy wie, że są one poświęcone jedynie na napisy końcowe. Nauczycielka marszczy brwi, próbując ustawić pilota względem projektora tak, żeby złapał łączność. Obraz na ekranie gaśnie nagle i płótno zwija się ku sufitowi. Rozglądam się na boki, chcąc zobaczyć, co inni sądzą o obejrzanym materiale. Berta, tleniona blondynka o wiecznie różowych tipsach, opiera się o ścianę i ze znużeniem kręci na palcu jeden ze swoich doczepianych loków, patrząc się w stronę okna pustym wzrokiem. Po lewej, pod oknem, połowa rzędu leży na ławkach z głowami ukrytymi w ramionach, miarowo oddychając. Muszą zachowywać dużą siłę woli, żeby nie zachrapać przypadkiem w czasie lekcji. Wracam do nauczycielki, która otwiera właśnie dziennik i pytam cicho:

- Proszę pani?

Podnosi głowę i patrzy ze znużeniem.

- Słucham? Masz jakieś pytania dotyczące filmu?

- Ja... tak, mam. Co się stało z Hitlerem?

Jedna brew zdradziecko podjeżdża jej do góry, ale w porę się opanowuje, odpowiada:

- Popęłił samobójstwo tydzień przed podpisaniem aktu kapitulacji Niemiec.

Patrzę na swoje paznokcie i przez chwilę myślę, czy kontynuowanie wypowiedzi na pewno wyjdzie mi na dobre. W końcu się przełamuję:

- A wie pani, że on był malarzem?

Nauczycielka spogląda na mnie ostro, a ja powstrzymuję się przed skuleniem.

- On był największym zbrodniarzem wojennym naszych czasów, Dario.

- Co nie wyklucza tego, że w młodości był utalentowanym malarzem. Dlaczego nigdy nie wspomnieliśmy o jego obrazach?

- Nie miał talentu. Jego obrazy są tylko dowodem na to, co działo się w umyśle tego psychop... - odchrząkuje - chorego na umyśle człowieka, zanim miał wpływ na świat

- Proszę pani, on malował wiejskie krajobrazy i obrazy o tematyce religijnej. Gdyby...

- Muszę kontynuować lekcję, Dario. Otwieramy zeszyty, piszemy - podnosi głos, a szemranie z lewej pozwala mi wywnioskować, że kolegów wyrzywa ze snu tembr jej głosu - "Temat: Największe zbrodnie czasów II Wojny Światowej".

Biorę długopis i piszę na górze to, co mówi. Kiedy dyktuje notatkę, chyłkiem wyjmuję szkicownik

i rysuję postać stojącą tyłem. Przed nią stoi płótno, na którym powstaje rzeka, drzewo, dom stojący

w oddali. Od ściany w tle odchodzi wzorzysta tapeta, a pod nogami leżą farby w kartonowych opakowaniach, które mimo zadbania przesiąkają przez papier. Pozę ma swobodną, ale palce kurczowo zaciśnięte na pędzlu i napięty kark. Nauczycielka wstaje, a ja chowam notatnik pod zeszyt i notuję: "1945 r. - oblężenie Berlina".

Stoję przed szkołą, gdy podbiega do mnie przyjaciółka. Ma na sobie wiśniową, krótką kurtkę, a za plecami tańczą na wietrze jej kręcone, kasztanowe włosy i końcówka szybko przewiązanego na szyi szalika. Uśmiecha się, na przywitanie pytając:

- Idziemy do parku?

Potrząsam jednym ramieniem, które zaczyna drętwieć o ciężaru wiszącego na nim plecaka, ale kiwam głową, ponieważ park jest po drodze do mojego domu. Co prawda drodze okrężnej, ale nie powstrzymuje mnie to od nacieszenia się pierwszymi promieniami wiosennego słońca. Wychodzimy poza teren szkoły, przechodząc przez wpółotwartą bramę, i skręcamy w prawo. Chodnik wiję się między blokami, idziemy w milczeniu, wokół śpiewają ptaki. Rozglądam się w poszukiwaniu pierwszych kwiatów, ale napotykam jedynie przebiśnieg, który chyli się ku ziemi i małą, zaróżowioną stokrotkę. Klara wyjmuje telefon z bocznej kieszeni plecaka i kątem oka widzę, że wchodzi na Instagrama, by przez kolejne kilka minut przeglądać jego zawartość. Nie patrzę więcej na jej telefon, ale częściej spoglądam na drogę, żeby w razie czego ostrzec ją przed latarnią albo zakrętem. Im bliżej parku, tym pojawia się więcej ludzi - zagubionych spacerowiczów, rodzin z dziećmi i psów wyprowadzających właścicieli. Jeden, wyjątkowo narowisty wilczarz, przebiega obok nas, widząc bramę parku, a jego dwudziestoletni właściciel usiłuje nie wypuścić smyczy w szaleńczym pędzie ku trawnikom i jeszcze nieobwężanym drzewom. Uśmiecham się, patrząc w ślad za nimi i czuję, jak Klara zerka za mnie z powątpieniem. Chowa swój telefon do plecaka, gdy przekraczamy granicę parku. Chodnik pod naszymi nogami zmienia się w zwirowane ścieżki, a wokół mnożą się drzewa, niektóre z już rozwiniętymi pierwszymi listkami, inne o nagich gałęziach wyciągniętych w stronę polan i alejek. Idąc na wskroś parku widzimy ludzi, siedzących na ławkach ustawionych

co kilka metrów. Na pierwszej z nich siedzi kobieta z wózkiem, w którym kołysze śpiące niemowlę. Kolejną zajmuje para, kobieta czyta gazetę, a mężczyzna patrzy się gdzieś przed siebie, słuchając muzyki z czerwonych, nausznych słuchawek, które kontrastują z otaczającymi nas brązami i zielenią. Następna ławka jest pusta, a Klara skręca w jej stronę. Siadam, z ulgą zrzucając z ramion plecak, i patrzę, jak przyjaciółka przez długą chwilę tkwi w miejscu, wpatrzona w jakiś punkt równoległy z główną ścieżką. Wstaję, zostawiając plecak, i opieram się o jej ramię.

- O co chodzi? - pytam.

- Spójrz na tamtego gościa. Starość musi być przerażająca - mówi, a ja mrużę oczy, próbując wychwycić jak najwięcej z obserwowanej sceny.

Na kolejnej po naszej ławce siedzi staruszek w błękitnej, kraciastej koszuli i brudnoszarym waciaku. Końcówki siwych włosów wystają mu spod filcowego beretu. Jego kręgosłup ma kształt paraboli, nisko pochyla głowę i sękatą, wykrzywioną dłonią sypie niewielkie płatki na chodnik. Przed nim walczy o jedzenie chmara gołębi bijąc skrzydłami i dziobiąc się nawzajem. Jeden siedzi na podłokietniku ławki, a mężczyzna raz na jakiś czas kładzie mu kilka płatków tuż obok.

- Co? - pytam się Klary - Dlaczego?

- Wyobraź sobie być taką powyginaną, zblazowaną i samotną... Nic, tylko czekać na śmierć - mówi cicho, głosem przesyconym czymś pomiędzy przerażeniem, a pogardą.

Czuję, jak mimowolnie unoszę brwi.

- Ale... on jest przecież szczęśliwy.

- Szczęśliwy? Jak można być szczęśliwym, jak jest się tak starym i schorowanym?

- Na szczęście nigdy nie jest za późno - mówię - Widzisz, gdzie ma najgłębsze zmarszczki? Tuż przy oczach, od śmiechu. I uśmiecha się wciąż, uśmiecha się do swoich przyjaciół.

- Chory i fizycznie, i psychicznie. Okrutny los. Chodźmy już.

Klara poprawia plecak na ramieniu i rusza ścieżką. Patrzę na tył jej głowy, wahając się z jedną ręką zaciśniętą na szelce tornistra, który wciąż leży na ławce. Szarpię za niego, narzucając pośpiesznie na ramię i jestem już o jej boku. Idę przez park z przyjaciółką przy boku, rozkoszując się promieniami słońca, a przyszłość stoi przede mną otworem. I mimo to, dziwnym trafem, czuję się dużo bardziej samotna niż mężczyzna, obok którego przechodzę.

Siedzimy na dywanie w moim pokoju - ja, oraz Klara, która usłyszawszy wieść o tym, że po niedawnych urodzinach mojego brata w lodówce zostały resztki tortu czekoladowego, postanowiła wstąpić na kilka minut. Ja, jako przykładna gospodyni z przymusu, przygotowałam również herbatę, którą pijamy. Pomimo wpółotwartej rolety w pokoju

panuje półmrok, ponieważ słońce zasłaniają chmury - wpierw strzępiaste i płochy, później ciężkie, zasłaniające błękit nieba. Bawię się kępką białych, plecionych nici składających się na dywan, usiłując nie słuchać mlaskania i siorbania przyjaciółki, pożerającej zadziwiające jak na jej posturę porcje ciasta. W pewnym momencie: plusk-plusk. Wolne, ociężałe, lecz jednak znajome dźwięki pierwszych kropel deszczu. Deszczu dodatkowo niezwykłego, bo pierwszego, wiosennego, który pachnie mokrym asfaltem i kwiatami, a zbląkana kropla za kołnierzem nie wzbudza dreszczu. Wstaję i podchodzę do okna. Opieram łokcie o parapet i zbliżam się tak blisko, jak tylko można bez komicznego rozpląszczenia nosa ma szybie. Patrzę, jak pierwsze krople spływają po niej, a później dalej i na dół, na asfalt i płyty chodnikowe, na których mnożą się czarne kropki, coraz więcej i więcej. Widzę, jak młode liście drżą pod ich wpływem i jak słońce, ostrożnie wysuwające się spomiędzy chmur, przegrywa

z nimi nierówną walkę. Wyobrażam sobie, jak ziemia spija życiodajną wodę, by spłodzić wiosenne kwiaty, tulipany, mleczki, maki...

- Ja nie mogę, ale się rozpadało. Włosy mi oklapną, książki przemokną, masakra! - słyszę za sobą.

Wyglądam przez ramię, nie odrywając łokci od parapetu, i spoglądam na Klarę, która patrzy w okno z takim wyrazem twarzy, jakby była zła na samą Matkę Naturę.

- Wyschniesz, to tylko woda - mówię - Pomyśl, jak jutro będzie ładnie, a może jeszcze dzisiaj będzie widać tęczę.

- Tusz mi się rozmaże, beznadzieja. Wiesz, czym dla cery jest tusz wsiąkający w skórę? Jeszcze się przeziębę od tych przemokniętych ubrań i w ogóle, eh.

- No tak... Tak, pewnie masz rację. Współczuję - odpowiadam, odwracając się od niej, by obserwować przestrzeń za oknem.

Tak, współczuję. Współ-czuję jak włosy przesiąkają mi deszczem, ciężkie krople odbijają się od kurtki, a do tenisówek dostaje się woda od przypadkowego wejścia w kałużę. Przekradkowe wejścia, przypadkowego wskoczenia, umyślnego wskoczenia, wskoczenia radosnego, by woda rozprysła się wokół, zmoczyła dzinsy co najmniej do łydek, wydając radosne i głośne "plusk", jakby wiosna obwieszczała swoje przybycie i wiwatowała na cześć rodzącego się życia. Tak, współczuję, ale coraz trudniej, bo w tej chwili bardziej chciałabym czuć.

- Odprowadzić cię na przystanek? Wezmę ze sobą jakąś parasolkę - pytam.

- Zejdzie ci ze dwadzieścia minut, jeśli pójdziesz. Nie, dzięki, oszczędzę ci tych cierpień.

- Ale ja z przyjemnością... - moją wypowiedź przerywa dźwięk wibracji.

Klara przechodzi na drugi koniec pokoju, schyla się i wyjmuję z plecaka telefon. Widzę, jak ekran rozbłyska błękitem obrazu blokady w drobne niezapominajki, by po wpisaniu PINu na jej twarz pada bura poświata jakiegoś wspólnego zdjęcia ustawionego na tapecie. Słyszę, jak wzdycha, a następnie chowa urządzenie do plecaka i narzuca go na ramię.

- Muszę iść, mama napisała, że wstawiła ziemniaki i jeśli nie zdążę, póki są ciepłe, to nie dostanę deseru. A dzisiaj miały być lody waniliowe z nowego przepisu blogerki, którą obserwuję, więc nie chcę tego przegapić.

Wychodzi z pokoju, a ja chwilę patrzę za nią, wahając się nad odprowadzeniem jej do drzwi. Słyszę, jak nakłada buty i szelest jej kurtki. Słyszę, jak woła: "Na razie!". Słyszę zatraskiwane drzwi i przez krótką chwilę jej kroki odbijają się echem w korytarzu. Słyszę krople deszczu spływające po szybie.

Jeszcze raz przeglądam podręczniki, upewniając się, że odrobiłam wszystkie lekcje. Ze znużeniem wrzucam je do plecaka i prostuję się. Idę przedpokojem, sięgam po kurtkę i zdejmuję ją z wieszaka. Drzwi od sypialni są zamknięte, bo rodzice oglądają komedię, a ich śmiech i tandetne kwestie bohaterów słychać nawet w moim pokoju. Mijam kuchnię, w której brat szpera w lodówce. Parsknęłabym śmiechem, widząc jego, niemalże dwumetrowego, z ciemnymi, długimi włosami, ubranego w całości na czarno... w wielkich i miękkich kapciach kaczuszkach. To jedyny element stroju, który chce mu się zmieniać po powrocie z uczelni

i zawsze rażąco kontrastuje z jego wizerunkiem. Wchodzę do salonu, oświetlonego jedynie przez lampkę stojącą za firanką na parapecie i otwieram drzwi balkonowe. Owiewa mnie lekki wiosenny chłód, pachnący zielenią i deszczem. Przymykam drzwi na tyle, ile mogę, nie zatraskując się przy tym, i siadam na jednym z białych, plastikowych krzeseł ustawionych w rzędzie, nieużywanych przez ostatnie zimne miesiące. Konstrukcja na szczęście wciąż trzyma, choć przez materiał spodni czuję deszczówkę, która zebrała się na siedzeniu. Patrzę na widok roztaczający się z siódmego piętra. Po lewej stoją dwa bloki, po prawej jeden, ale centralnie przede mną roztacza się rezerwat przyrody, zwany przez mieszkańców osiedla laskiem. Nad rozpościera się nocne niebo, upstrzone gwiazdami, choć nie taką ich ilością, z jakiej faktycznie byłabym zadowolona. Nawet na przedmieściach emisja światła z latarni i domów sprawia, że niebo matowieje, a gwiazd widać jedynie garstkę, nawet jeśli jest zupełnie bezchmurne. Jednak wciąż patrzę się na te promyki światła, wyobrażając sobie życie pod nimi, snując marzenia i...

- Co robisz? - słyszę tuż po dźwięku uchylanych drzwi.

- Patrzę na gwiazdy - odpowiadam, nie odwracając się.

Brat wychodzi na balkon, zamykając drzwi, i siada obok mnie. Sąsiednie krzesło skrzypi, a jego oparcie odchyła się niebezpiecznie poza normę rozciągłości plastiku. Być może myliłam się co do ich wytrzymałości.

- Dlaczego? - pyta.

- Dzisiaj jest noc spadających gwiazd.

Prycha, a ja zerkam na niego kątem oka, nie odrywając wzroku od nieba.

- Przy tej emisji światła...

- Wiem - przerywam mu.

- Daria, próby wypatrzenia czegokolwiek na tej marnej namiastce nieba są bez sensu.

Spoglądam na swoje stopy, odziane w ciepłe, puchate skarpety.

- Z pewnością masz rację... - mówię cicho, ale mimowolnie wracam wzrokiem w górę.

- Zresztą nazwa "spadające gwiazdy" jest głupia. To nawet nie są gwiazdy, ale zwykłe samotne odłamki, dryfujące gdzieś we wszechświecie. Jedyne, co mogą ze sobą przynieść, to zniszczenie. Mogą zaprzepaścić całe nasze osiągnięcia, uszkodzić satelity i...

Przytakuję, ale jego głos powoli cichnie w moich uszach. Patrzę na gwiazdy. Maleńkie szkiełka rozsypane na czarnym aksamicie. I wtedy, jakby płótno rozerwane w pół, na chwilę trwającą mgnienie oka, przemyka po nim rozbłysk, a w mojej głowie pozostaje tylko jedno pragnienie: "daj mi ujrzeć świat". I wszystko powoli nabiera sensu. Nie jak jakieś objawienie, nie nagle, ale stopniowo, ujrzana iskra zaczyna rozjaśniać mój umysł.

- ... powstają zresztą w skutek kolapsu obłoku molekularnego, czyli zwyczajnej chmury materii złożonej z lekkich pierwiastków, wyobrażasz sobie? Czym to jest przy Wielkim Wybuchu, przy... - zaczynam ponownie zwracać uwagę na słowa brata i czuję, że muszę mu przerwać, uświadomić, że jego wypowiedź nie ma dla mnie sensu i to nie dlatego, że jej nie rozumiem.

- Gwiazdy są piękne.

- Słucham? - pyta.

Odwracam głowę tak, żeby patrzeć mu w oczy.

- Gwiazdy są piękne, deszcz nie jest utrapieniem, starość może być szczęśliwa, a Hitler też był człowiekiem - mówię bez zająknięcia i podnoszę się z krzesła, opierając łokcie o barierkę balkonu.

Znów patrzę się w niebo.

- Co? O co ci znowu chodzi? - słyszę.

- Może i macie wszyscy rację, ale nie dla mnie. To, jak coś postrzegasz, nie definiuje wyglądu.

Milczy. Słucham, jak wstaje z krzesła i wraca do salonu. Wiatr unosi jeden zbłąkany kosmyk moich włosów, który wyszedł z warkocza. Patrzę w niebo i czuję, że pierwszy raz widzę je własnymi oczyma, w całej swej okazałości i pięknie. Najwyraźniej to, w jakim świecie żyjemy zależy tylko od tego, co damy sobie wmówić.